

I nagroda w IX Ogólnopolskim Konkursie Literackim „Płynąć pod prąd”

dla Natalii Stefańskiej

z Zespołu Szkół Ogólnokształcących Integracyjnych nr 7 w Krakowie

za pracę pt. „Bohaterowie drugiego planu”

w kategorii szkół podstawowych i klas gimnazjalnych – proza

Bohaterowie drugiego planu

Kiedy usłyszałam o konkursie „Płynąć pod prąd”, od razu zaczęłam się zastanawiać nad tym, o kim chciałabym napisać. Słyszając słowo „bohater”, myślimy o żołnierzach, lekarzach i działaczach społecznych – autorach niesamowitych czynów. O nich uczymy się w szkołach. Jednak zapominamy o bohaterach mijanych na ulicach, o tych, co walczą w swoich własnych bitwach dnia codziennego. Los postawił na ich drodze przeszkody, a oni próbują je ominąć, płynąc pod prąd. Chciałam opisać życie kogoś inspirującego, kto, mimo że nie kojarzy się z mianem „bohatera”, tak samo jak wymienieni wcześniej ludzie nie poddawał się, nawet w najtrudniejszych chwilach, tak jak przedstawił to w „Panu Cogito” Zbigniew Herbert: „Bądź odważny, gdy rozum zawodzi bądź odważny/ w ostatecznym rachunku jedynie to się liczy”.

Pewnego dnia, będąc u mojej prababci Wiktorii, zauważyłam wiszący na ścianie certyfikat. „Niniejszym uroczyście zaświadcza się, że DĄB PAMIĘCI posadzony został dla uhonorowania pamięci podporucznika Andrzeja Barana”. Z lekcji historii wiedziałam, że te wyjątkowe drzewa były sadzone ku czci ofiar zamordowanych w Katyniu, więc bardzo zdziwił mnie tego rodzaju dokument w jej domu.

– Kim był Andrzej Baran? – zapytałam mojej ciotki, która siedziała obok. – To tata prababci Wiktorii, mój dziadek. Zginął na wojnie dawno temu, ale jak chcesz, to ci mogę opowiedzieć o twoim prapradziadku – odpowiedziała. Nie miałam pojęcia, że mam taką osobę w rodzinie, musiałam się dowiedzieć czegoś więcej.

– Mój tata pochodził z okolic Wieliczki, ze wsi Siercza, urodził się w 1903 roku. W wieku dwudziestu lat został powołany do wojska, gdzie otrzymał stopień podporucznika kawalerii konnej. Nie sądził, że kiedyś jeszcze będzie musiał wrócić do wojaczki. Mama pochodziła z Krzyszkowic. Poznali się na festynie i pobrali w 1928. Rok później urodził się Zygmunt, potem w 1932 - ja, a w 1937 najmłodsza z nas wszystkich, Ola – zaczęła opowiadać prababci. – Mieliśmy duży dom, jedyny murowany w okolicy, pola, sad, a nawet kawałek lasu. Hodowaliśmy wiele zwierząt, krowy, kury, kaczki. Posiadaliśmy też konia, który co niedzielę ciągnął bryczkę. Z dumą poruszaliśmy się nią po wsi. Byliśmy zamożną rodziną, bo tata nie tylko zajmował się gospodarstwem, ale także pracował w kopalni, w Zakładach Sodowych Solway. Podczas słonecznych wakacji, w sierpniu 1939 roku ojciec wpadł do domu jak oparzony. -Wojna! Niedługo zacznie się wojna! - wykrzyknął, po czym rozpoczął pakowanie walizki. Miał na to ledwie kilka chwil. Z całą rodziną pojechaliśmy na dworzec go pożegnać. Wpakowali ich w wielkie wagony towarowe i pojechali. Nie sądziłam, że widzę tatę po raz ostatni... Mama była w ciąży i niedługo po tym wydarzeniu poroniła. Przyszły ciężkie lata wojny. Pola leżały odłogiem. Pieniądzy zaczynało brakować. Trzeba było sprzedać konia i

krowę. Mijały dni i tygodnie, a od taty wciąż żadnych wieści. Jedyne, na co było nas stać, to koza, która musiała wyżywić całą rodzinę. Niedługo potem kolega ojca, walczący razem z nim na wojnie, odwiedził nas i przekazał rodzinie smutną informację. Zaczął tak:

– Andrzej został ciężko ranny na froncie. Leżał w Ostaszkwie w szpitalu, miał połamane żebra, jakieś obrażenia wewnętrzne. Gdy powiedziałem, że jutro jest transport do domu i zapytałem, czy jedzie, odpowiedział, że się lepiej czuje, ale żebym przyszedł rano, bo wolałby jechać następnym, no i musi napisać list do żony. Kiedy przyszedłem, rozglądam się po łózkach, a Jędrka nie ma. Doktor mi powiedział, że w nocy zmarł. Ja mam, Pani Baran, być Pani świadkiem do renty – mówił Piotr Lewiński.

Nam ciężko było uwierzyć w jego słowa. Bo jak to? Tata już nie wróci? Ale trzeba było jakoś żyć dalej. Mimo że wydawało się, iż gorzej już być nie może, przysły kolejne nieszczęścia. Zaraz po wojnie, kiedy nastąpiła władza ludowa, zostaliśmy wywłaszczeni z naszego własnego domu.

– Co to znaczy wywłaszczeni? – dopytywałam się.

– Zmienił się ustrój polityczny. Ta władza nie uznawała własności prywatnej. Odebrano nam wszystko, co do nas należało, bo tata był zamożnym chłopem. Nie wyobrażałam sobie siebie na miejscu praprababki, która znowu musiała stawić czoła kolejnym wyzwaniom.

– Za resztę pieniędzy kupiłam maszynę do szycia i dorabiałam jako krawcowa, żeby pomóc rodzinie. Mój wujek, Sebastian, wrócił z Francji i też pomagał mamie. Wszyscy staraliśmy się, jak kto potrafił. Czas płynął. Ja i moje rodzeństwo założyliśmy własne rodziny. W 1954 r. otrzymaliśmy dziwny telefon od repatrianta. Mówił, że Jędrka żyje na Syberii. Byliśmy zszokowani. Mama na początku nie wierzyła. Potem usłyszała od żołnierza, że Andrzej był ciekaw, czy urodził mu się chłopiec, czy dziewczynka. Odłożyliśmy słuchawkę. Wszyscy byli tak rozemocjonowani, że nie myśleli o zapytaniu o jakikolwiek kontakt lub nazwisko. Drzwi do domu się nie zamykały. Cała rodzina przychodziła do nas świętować odnalezienie się taty, ale nie wracał. Czekanie było najgorsze. Za każdym razem, kiedy pies szczeknął, myśleliśmy: „Tatuś wróci”. Straszne przeżycie, okropne! Pisaliśmy do Polskiego Czerwonego Krzyża, wszędzie szukaliśmy i nic. Jednak nadzieja nigdy w nas nie umarła, aż do momentu, gdy w latach dziewięćdziesiątych wreszcie dowiedzieliśmy się prawdy. Okazało się, że tata był więźniem Ostaszkowa. Zaraz na początku wojny trafił do niewoli i został zamordowany w Tawrze, czyli Kalininie w 1940 r., a został pochowany w zbiorowych mogiłach w Miednoje. W 2010 r. zostałam zaproszona na sadzenie dębów dla uczczenia ofiar wojennych z okolic Wieliczki. Tam otrzymałam certyfikat, który tak cię zainteresował.

Postanowiłam nie pytać o nic więcej. Widziałam, że prababci ciężko mówić o tym wszystkim. Zupełnie jej się nie dziwię, przeszła bardzo wiele. Zdecydowałam sama poszukać dokładniejszych informacji na temat Ostaszkowa. Okazało się, że stanowi część Zbrodni Katyńskiej. Jej ofiarami byli głównie polscy jeńcy wojenni. Zostali oni pojmani w czasie kampanii wrześniowej. Więźniowie byli dobrze traktowani, mogli nawet kontaktować się z bliskimi. Przechowywano ich w klasztorze na wyspie. Nie spodziewali się tego, co miało nadejść. Od 5 kwietnia do 14 maja 1940 r. mordowano ich strzałem w potylicę w pomieszczeniach piwnicznych w więzieniu w Kalininie. Funkcjonariusze nagradzani pieniędzmi i wódką, pozbawiali życia innych ludzi. Zwłoki były wywożone ciężarówkami i grzebane w masowych grobach koło miejscowości Miednoje. Ogółem zginęło tam ponad sześć tysięcy Polaków. Wstrząsające są dla mnie zeznania Dmitrija Tokriewa, naczelnika obwodowego NKWD. Pozwolę sobie fragment tej wypowiedzi przytoczyć.

„Technologia była wypracowana przez Błochina, tak jak i komendanta naszego Zarządu NKWD Rubanowa. Obili oni wołfokiem drzwi wychodzące na korytarz, by nie było słychać

strzałów w celach. Następnie wyprowadzali skazanych (...) przez korytarz, skręcali w lewo, gdzie była „czerwona świetlica”. W czerwonej świetlicy sprawdzali według listy – czy zgadzają się dane. [...] Niezwłocznie zakładali (jeńcowi) kajdanki i wprowadzali do celi, gdzie dokonywano rozstrzelania. Ściany celi też były obite materiałem dźwiękochłonnym. [...] Wprowadzali do celi i strzelali w potylicę. [...] Błochin włożył swoją odzież specjalną: brązową skórzaną czapkę, długi skórzany brązowy fartuch, skórzane brązowe rękawice z mankietami powyżej łokci. Na mnie wywarło to ogromne wrażenie – zobaczyłem kata! [...] Pierwszy raz przywieziono 300 ludzi. Okazało się, że za dużo. Noc była krótka i trzeba było kończyć już o świcie. Następnie zaczęto przywozić po 250. [...] Strzelano z waltherów. To dobrze wiem, gdyż przywieźli ich całą walizkę. [...] Okazuje się, że pistolety szybko się zużywają. [...] Z tej celi było wyjście na podwórko. [...] Tamtędy wyciągali trupy, ładowali na samochód i jechali.”

Nie mogę uwierzyć, że coś takiego miało miejsce i dotknęło moją rodzinę. Może kiedyś odwiedzę cmentarz w Miednoje i zapalę znicz dla mojego prapradziadka Andrzeja Barana.

Bardzo dużo myślałam o tej historii. Oczywiście jest bohaterstwo Jędrka – mojego przodka. Śmierć w obronie ojczyzny, za honor i naród - to bardzo szlachetna i heroiczna postawa, ale dla mnie prawdziwym wzorem jest jego żona – Katarzyna Baran. Nazwałam ją bohaterem drugiego planu, ponieważ w codziennym życiu samotnie płynęła pod prąd przeszkód, które los postawił na jej drodze. Życie wielokrotnie próbowało ją złamać. Pierwszy raz, gdy mąż wyjechał na wojnę. Drugi, kiedy okazało się, że zmarł. Trzeci, w sytuacji, w której odebrano jej ziemię i dom. Łatwo byłoby w każdym z tych momentów się poddać. Nikt nie miałby jej za złe nieudźwignięcia tego wszystkiego. Ona jednak dzielnie wychowała samotnie trójkę dzieci i poradziła sobie w najtrudniejszych chwilach. „Jeśli masz dwie drogi do wyboru, wybieraj zawsze drogę trudniejszą dla siebie” - pisał Zbigniew Herbert. To Katarzyna jest moim wzorem, przykładem wytrzymałości, hartu ducha i odwagi. Chciałabym kiedyś być tak silną, niezależną i niesamowitą osobą, jaką była moja praprababka.



Andrzej Baran

Uczestnictwo w tym konkursie sprawiło, że dowiedziałam się więcej o swoich korzeniach i doświadczyłam żywej lekcji historii, a opowieść o rodzinie Baranów mam zamiar przekazać moim dzieciom, bowiem „naród, który traci pamięć, traci sumienie”. I znów słowa Herberta są piękną puentą i podsumowaniem moich przemyśleń i refleksji.



Katarzyna Baran z dwiema córkami i kuzynką



Dzieci Andrzeja i Katarzyny



Rodzina podczas sadzenia dębów
(Wiktoria druga od lewej)



Spotkanie rodzinne z okazji chrzcin
(Andrzej z prawego boku, trzymający psa)



Certyfikat zasadzenia dębów pamięci



Cmentarz w Miednoje



Klasztor w Ostaszowie



Prababcia Wiktorija